

## **Andrzej Zieniewicz: Andrzej Bobkowski. Od zachwycenia do doświadczenia**

Czym jest dla Bobkowskiego autobiografia, diarystyka? Szczerością. I właśnie dlatego literaturą. Szczerością trudną, bo rowerowa równowaga tych zanotów polega na podtrzymywaniu ekstazy. Nie ma olśnienia, nie ma pisania – pisze Andrzej Zieniewicz w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Bobkowski. Szkice z wolności”.

Czym jest autobiografizm dla Bobkowskiego? Spróbuję raczej pokazać niż powiedzieć, bo „wyjaśnień” jego pisarstwo nie trawi w ogóle. W znanej anegdocie Marka Twaina po przybyciu do nieba dziwimy się trzy razy. Wiadomo, dlaczego. Że są ci, że nie ma innych, i że my sami tam właśnie, a nie piętro niżej. Czytając „Szkice piórkiem” też dziwimy się trzy razy. Najpierw, że można tak cieszyć się życiem i zapisać swą radość najbliższej chwili, a najdalej od komentarza. W poezji umiał to tylko Wierzyński (młody). W prozie chyba nikt. A drugi raz dziwimy się, gdy dociera do nas, że cała ta roześmiana rowerowa wycieczka, ach, ten zachwyty ekstatyczny, ten sensualizm zaraźliwy, ten puls krwi gorącej, wiatr we włosach, błyski lazuru morza w olśnionych oczach, ser biały drewnianą łyżką, szproty prosto z puszek, oliwki, wino czerwone szklanką pod wieczór, że to wszystko spisywane podczas ucieczki przed armią niemiecką, bo francuski czerwiec (prawie rok po polskim wrześniu) to też dramat klęski, wojsk rozbitych, złudzeń straconych... Ale dramat niekoniecznie, i nie od razu. Francuzi mówią: przegrana wojna jest przegraną wojną. Będzie drożyzna. Trzeba przetrwać. A gdzie flagi na bruku, łomot żołdackich buciorów pod Łukiem Triumfalnym,

gdzie łyzy weteranów, ożałobione wdowy oplakujące poległych... O tym ani słowa, i nie żeby diarysta nie wiedział, ale w dzienniku zajmują go rzeczy prawdziwe: noc na plaży, oliwienie łańcucha od roweru, ekstaza kąpieli w morzu, ogólna rzeźkość. Spisywane tak sugestywnie, że to drugie zdziwienie wiążemy od razu z myślą: - czy przypadkiem cała ta legenda narodowa i patriotyczna nie jest jednym wielkim kłamstwem, od którego jesteśmy uzależnieni, niby od codziennego rytuału. Oczywiście, smutno nam, że Polska, że Francja, ale... zjazd do miasteczka krętą drogą był fantastyczny. Bez hamulców, chyba 60 na godzinę. Więc kiedy diarysta nie musi nikogo szantażować patriotyzmem, ani być nim szantażowany (Polaków na horyzoncie nie widać, a Francuzi zajęci zbiorem winogron) to polskość romantyczna i martyrologiczna odpada z niego jak uschły liść, a kosmopolita pedałuje i pisze dziennik, zachwycony tyleż przeżyciami, co uzyskaną nową lekkością słów. Gombrowicz rzekłby - luźnym stosunkiem do formy, która mu służy. Bo jest – dokładnie tak, jak chciał mistrz – o tyle bardziej człowiekiem, o ile mniej Polakiem. Oczywiście, dużo w „Szkicach piórkiem” inteligentnych, powierzchownych, brawurowych, rasistowskich, aroganckich (niepotrzebne skreślić) komentarzy o upadku galijskiego ducha, o paskudnym charakterze Polaków, o Europie wg Keyserlinga, o tym, że duch to odwaga (samodzielności), a w dzisiejszych kulturach zamiast niej mamy niewolnictwo, czyli przyjmowanie ideologii jako objawienia wiary, i o tym, że dobry wiersz jest tyle samo wart, co dobry obiad, i że jedni mogą całe życie w Radomiu, i jeszcze są Żydami, a inni muszą podróżować, i tylko kosmopolita jest naprawdę wolny, ale trzeci raz dziwimy się dopiero wtedy, gdy w tle tych rozmyślań pojawi się nie los, historia czy konieczność, ale tzw. sprawy bytowe.

Bo oto już w Paryżu (4.09.1941) zajęтым przez Niemców, ów upojony swobodą chuligan wolności kręci się w pobliżu Hal, by skombinować sobie i Basi coś do zjedzenia.

Ruchem węża przewijam się po ciasnych uliczkach. Po dzisiejszym targu śmietniki są pełne. Liście z sałaty nie ciekawią mnie. Zresztą w poszukiwaniu trzeba mieć system, trzeba mieć kompas. Tym kompasem są psy. Śmietnik, przy którym kręci się pies, może zawierać coś ciekawego, coś z kości lub z mięsa. Jest – naciskam hamulce. „Won” mówię grzecznie kundlowi i odpycham go przednim kołem. Warczy, swołocz. Musi być coś lepszego. Patrzę i oczom nie wierzę. Cała głowa barania. Wyciągam z torby papier, owijam głowę i chowam. Trochę już „czujna” ale za to ile jedzenia. I pędzę znowu nad Sekwaną. Zapatrzyłem się na jakiś afisz *Madame Capet* z Celine Sorel (śmierci na nią nie ma) i z całym rozpędem walę czubkiem buta opancerzonym w klipsę pedałową w błotnik niemieckiej limuzyny. Błotnik zgina się w okropny sposób. Sabotaż. Na szczęście nikt nie widział. Uciekam uszczęśliwiony. Jednak czymś przysłużyłem się ojczyźnie. Wpadam do domu i gwizdząc one stepa ‘Salome’ wnoszę głowę. Narada wojenna z Basią. Czuć? Barana zawsze czuć. Robimy prosektorium. Przepiłowuję czaszkę piłką do żelaza – jest mózdzek, Poza tym ozór i mięso z policzków. Objem się. Potem siadam w fotelu i czytam. Jest mi tak dobrze. Nieraz, gdy w zawrotnym tempie uwijam się po ulicach na rowerze, gdy świeci słońce, jestem tak szczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu. Odkryłem uśmiech myśli. Nie umiem tego inaczej nazwać. Mam ochotę błaznować sam do siebie, robić głupstwa sam do siebie; rozsadza mnie jakaś głupia radość i lekkość. Wszystko mi się podoba. Wszystko wokoło jest

jak muzyka. Chwyta w przelocie nastroje poszczególnych ulic i widoki wiją się wewnątrz mnie jak jakiś roztańczony korowód (...) Piję coś wielkimi łykami (...) Młodość? Dobrze mi, bo jestem młody i silny (...) Myślę tak swobodnie, jak nigdy dotąd. I mam Basię. Czego więcej potrzeba? Basia ma rację. Kiedyś na moje pytanie, pełne dumy i wyrozumiałości: ; - I gdzie znalazłabyś takiego drugiego męża? – ona odpowiedziała krótko. – W Tworach, kochanie. Jej dowcip jest zawsze wąskoustny.[1]

Czym zatem jest dla Bobkowskiego autobiografia, diarystyka? Szczerością. I właśnie dlatego literaturą. Szczerością trudną, bo rowerowa równowaga tych zanotów polega na podtrzymywaniu ekstazy. Nie ma olśnienia, nie ma pisania. Ale, jeśli przyjąć ryzykowną tezę, że jak szperamy po śmietnikach za czymś do zjedzenia, to życie też się do nas uśmiecha, to blisko stąd do olśnień skazańca na szafocie, że ładnie świta, piękny dzień się zapowiada. Inaczej mówiąc, słabszą stroną tych zachwyków jest ich owinięcie wokół fikcji dobrego samopoczucia dyktowanego świata. Uciekam od terminologii literaturoznawczej, ponieważ orzekania, że autobiografizm Bobkowskiego coś pomija, coś lekceważy i bywa przez to arogancki do głupoty, i roześmiany do bezmyślności, nic nie wniosą – a zwłaszcza pominą fantastyczną frajdę tego zapisu, który równie cieszy się zachwytem, jak mówieniem prawdy. Choćby była arogancka, niedomyślana... Tak, ale moja.

Jego pisanie autobiograficzne ma dwa bieguny. Na jednym jest braniem myśli z improwizacji owiniętej wokół konkretnego i chwili, więc diarystyczną (czy epistolarną) a nie fikcyjotwórczą dominantą pisania. A na drugim biegunie mamy awersję do „filozofowania”, utożsamionego z myśleniem w gotowych formułkach, które dziś zastępują tożsamość. W

tej perspektywie myśl zanurzona w „ideologii” jest tym samym, co zanik samodzielności duchowej. Utratą zdolności do smakowania życia. Zresztą, rzecz w tym, że Bobkowski od dziecka (polskiego dziecka, a nawet szczeropolskiego dziecka; ojciec – austriacki pułkownik, matka – solistka wileńskiej opery) tyle nasłuchiwał się nadwiślańskich rozważań historiozoficznych, tych diagnoz, przewidywań, rozmyślań u ducha narodów i o filozofii zniewolenia, o poezji (mama uczyła), o racji stanu, mesjanizmie... – a potem był wrzesień, a potem przyszli Rosjanie – że nie przywiązuje do tych rozmyślań żadnej wagi. One są, ale nic nie znaczą, bo historia istnieje w trybie działania, a nie spekulacji (tata nauczył).

*Bobkowski z usposobienia nie  
jest intelektualistą i domysły  
historiozoficzne ma za  
mrzonki, podszyte  
ideologiami, zawsze  
skłamanymi, by tumanić  
„masy”*

Stosunek  
Bobkowskiego do  
czasu dziejowego  
jest więc tyleż  
impulsywny, co  
impulsowy. Z historii  
trzeba sobie zdawać  
sprawę, kiedy nas

dotyka. I tyle. Żadnej spekulacji. Rosjanie pod Kurskiem. Amerykanie na Guadalcanal. Wojna. Ale bez domysłów, strategicznych prognoz, teorii dwóch wrogów, historycznej misji i szansy Polski. Zmagania. A wśród tych zmagania rację ma ten, kto działa. Kto stoi z boku – nie wie nic. Poza tym Bobkowski z usposobienia w ogóle nie jest intelektualistą i domysły historiozoficzne ma za mrzonki, podszyte ideologiami, zawsze skłamanymi, by tumanić „masy”, czyli „ludzi-termity”, czyli tych, co ani nie myślą samodzielnie, ani nie mają ducha, a w skutku

potrzebują kłamstw i fałszywych obietnic. Natomiast naprawdę liczy się odwaga i impuls wolności. Odwaga bycia wolnym. Tym też się pisze. Nie upraszczam Bobkowskiego, ani go nie spływam. Raczej staram się pokazać pragmatyczną ostrość tej myśli, nie „intelektualnej”, ale mocno trzymającej się życia, i kulminującej w impulsie: albo szczerść, albo teoria.

Tyle, że wedle tej reguły ktoś szukający obiadu na śmietniku za mocno się jednak życia nie trzyma, i jego zapewnienia, że jest młody, silny i myśli swobodnie, nie brzmią – nawet dla niego samego – przekonująco. Ba; przyjęcie, że to dzielne robienie dobrej miny do złej gry, też nie pomoże - bo to już właśnie ideologia, czyli samooszustwo. Ale co zrobić? Pracować za grosze? Jeśli znajdziemy jakąś pracę - o co w okupowanym Paryżu nie łatwo. Ale co warte są rozmyślenia o życiu, a nawet zachwyty kogoś, kto nie potrafi w tym życiu zapewnić ani sobie ani żonie jakiegoś miejsca? Można tę sytuację na sto sposobów teoretycznie zaciemniać, ale wtedy nie opowiemy już głowy baraniej wyciąganej ze śmietnika. Tracąc zaś szczerść tracimy literaturę. I więcej, bo wolność.

Otóż przez pięć lat prowadzenia okupacyjnych zapisków nie opuszcza diarysty ani dobry humor, ani odwaga wolności – ale i narasta w nich przekonanie, że z własnej emigranckiej, beznadziejnej sytuacji nie znajdzie wyjścia nawet w powojennej Europie. Bo ona, na gruzach Niemiec i po Jałcie, zmieniona została we współistnienie dwóch molochów, wschodniego i zachodniego, pewnie, że nieporównywalnych, ale oba widzą w człowieku już tylko niewolnika systemów i wyznawcę ideologii. Dla intelektualisty rezerwują sytuację mrówki uniwersyteckiej, a artystę, pisarza zmieniają w wychwalacza systemu, i w łowcę stypendiów, z uniżonymi o nie zabiegami. Prościej

mówiąc: tak, czy owak wybieranie resztek ze śmietnika. A jeszcze prościej – w Europie nie ma już miejsca na odkrywczność, odwagę, duchową samodzielność. Kropka. Trzeba wyjechać. Dokąd? Do Gwatemali. I Bobkowski wyjeżdża.

W 1948 roku pakuje się na statek. W Gwatemali otwiera, z trudem, ale i z sukcesem, własny biznes – sklep z modelami latającymi. Po nocach je klei, w dzień sprzedaje. Kupuje frezarkę, wie już, jak użyć pilnika, i ile kosztuje samodzielność egzystencji. Rozwija interes, bierze udział w amerykańskich zawodach modelarzy. Pisuje do „Kultury”. Także parę świetnych opowiadań i reportaży. Ale najważniejsze - stypendiów nie pobiera, od mecenasa nie zależy. I pisze o tym z nieprawdopodobną dumą. Ponieważ jest to autobiografia człowieka, który rzucił wyzwanie, podjął walkę i zwyciężył. Wyrwał życiu spory kęs, i teraz jego słowo w a ż y. Stoi za tym słowem s a m o d z i e l n o ś ć życiowa. Bobkowski pisze „Notatki modelarza”. Pisze tym, kim się stał. Autobiografia przestaje być filozofią wycieczki, zaczyna być filozofią realnych podstaw wolności (egzystencji). Bardzo prostą: te podstawy trzeba samodzielnie zbudować.

*Pisarze emigrują, owszem,  
uciekając przed opresją, albo  
pod życzliwszy mecenat, ale  
bohaterem Londona jest się  
już tylko na Alasce. Albo w  
Gwatemali*

Pozostawiam  
czytelnikowi ocenę  
pisarskiej  
konsekwencji. Mnie  
imponuje. Bo łatwo  
mieć pełną gębę  
filozoficznych  
frazesów, mówić:  
totalizm, śpiewać:

ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie, ale trudniej powiedzieć: rób to,

czym piszesz. Piszesz wolnością? To walcz o nią. Nie o wolność ducha, cywilizacji, epoki – tylko o swoją. Inaczej: z rozpoznania Europy, narodów, powojnia jako życia z utraconą samodzielnością, prosty wniosek: nie chcesz pozostawać na łasce możnych tego świata, którzy raczą, albo nie raczą, to wyjedź tam, gdzie na własny rachunek żyć jeszcze można. Bo pisarze emigrują, owszem, uciekając przed opresją, albo pod życzliwszy mecenat, ale bohaterem Londona jest się już tylko na Alasce. Albo w Gwatemali. I to wyzwanie Bobkowski podejmuje.

Z jakimi skutkami literackimi? Ano, z takimi, że odtąd jego pisanie, czyli pisanie świata, będzie sprawozdaniem z wypracowanej w nim niezależności. I z tego poletka własnego małego biznesu niespodziewanie szeroki widok, nie tylko na Gwatemalę.

Specjalna kasta, ci tutejsi właściciele sklepów i bogaci. Są leniwi i bez żadnej inicjatywy, bez wynalazczości. Bierność, a równocześnie kolorowa podstępność i przebiegłość z dodatkiem absolutnie doskonałego zmysłu naśladownictwa. Teraz już kręcą się koło mnie, nawet kłaniają się na ulicy (...) Widzą nagle, że to „poszło”. Ale dostrzegają wynik i tylko wynik. (...) To jeszcze jeden z tych białych *extranjeros*, który ich oszukał. Oszukał ich pracowitością i rzutkością, tak jak nas oszukiwali niegdyś Niemcy, a potem Żydzi. (...) Rozumiem ich i nie dziwię się im. Bezustanny kompleks niższości, lenistwo, brak inicjatywy i przedsiębiorczości powodują zawiść i nienawiść, podsycają ślepy nacjonalizm. Stara śpiewka. W tej chwili komuniści zarabiają na tym na czysto.[2]

Co w tym ciekawego? Chyba to, że ze sklepiu modelarskiego w Gwatemali (który jednak „poszedł”) wyłania się wizja Polski – bezlitosna - jako pielęgnującej urojenia wielkościowe tym silniejsze, im silniej opiera się modernizacji. I nie chodzi tu to panoramę historiozoficzną, ale o zagruntowanie tej panoramy w sprawdzalnym osobistym doświadczeniu. O punkt równowagi między nią, a tym doświadczeniem, więc między byciem w życiu na wycieczce, a życiem jako r o b i e n i e m czegoś. Najpiękniejsze opowiadanie Bobkowskiego, tak właśnie nazwane, „Punkt równowagi”, mówi o człowieku, który postanowił wyremontować pozostawiony (po przymusowym lądowaniu) w środku gwatemalskich bagien amerykański samolot transportowy. I wystartować nim z jeziora prosto do cywilizacji, nowoczesności i sukcesu (bo mając samolot można założyć linię lotniczą). Nikt nie wierzył, że to się uda – a jednak się udało! Opowiadanie jest jakby odwrotnością Conradowskiego „Jądra ciemności”. Jest pytaniem, czy można wyrwać się z samego środka tubylczego mroku z powrotem do prawdziwego życia. Bobkowski mówi, że tak, i sprawozdanie z wysiłku, jakim to się robi, jest sensem jego autobiograficznego pisarstwa. Bardzo polskiego, choć sam autor uważał się za kosmopolitę i obywatela świata.

*Andrzej Zieniewicz*

*Fot. Polona.pl, fotograf nieznany*

\*\*\*

[1] Andrzej Bobkowski, *Szkice piórkami*, Wyd. CiS, Warszawa 2014 s. 183-184

[2] Andrzej Bobkowski, *Z notatek modelarza*, w: *Coco de Oro. Szkice i opowiadania*, Wyd. Instytutu „Kultury”, Paryż 1970 s.204